



fot. Marek Biczuk / źródło: newspix.pl

Przegląd Sportowy 14.11.2014

W Polsce nie ma klimatu dla rugby

Andrzej Ważyński jest jednym z niewielu żyjących rugbystów, którzy grali w pierwszym oficjalnym meczu reprezentacji Polski w 1958 roku. W kadrze zagrał pięć meczów.

PRZEGLĄD SPORTOWY: W sobotę reprezentacja Polski gra w Kiszyniowie z Mołdawią w ramach Pucharu Narodów Europy. Mamy szansę na sukces?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Mołdawia to mocna drużyna. Oglądałem na żywo rozegrane niedawno spotkanie Polska – Holandia (9:8) w Warszawie. Wygraliśmy, ale wcale nie było łatwo. Muszę jednak wycofać słowa, które wtedy powiedziałem. Stwierdziłem, że moja reprezentacja, ta sprzed blisko 60 lat, pokonałby obecną. Trochę za ostro wypowiedziałem się, nie było tak źle, tym bardziej że Holendrzy do Polski przyjechali w bardzo mocnym składzie. Wiele zależeć teraz będzie od Mołdawii. Jeśli jej najmocniejsi zawodnicy pojawią się na boisku, może być bardzo ciężko.

Jest pan jednym z niewielu żyjących reprezentantów, którzy zegrali w pierwszym w historii oficjalnym meczu reprezentacji Polski w rugby. W 1958 roku w Łodzi pokonaliście 9:8 NRD.

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Moja przygoda z rugby to zupełny przypadek. W 1956 roku zdawałem egzaminy na warszawską AWF, a od dłuższego czasu trenowałem lekkoatletykę. Wzwyż skakałem i przez płotki biegałem. Na początku egzaminów sprawnościowych mnie i kolegę, który niedawno zmarł, dostrzegł trener rugby. Zapytał, czy nie chcemy trenować. Tak sobie wtedy pomyślałem: Szczypior, co skacze wzwyż, ma grać w rugby? No ale dzięki skoczności mogłem złapać piłkę

lecając w aut. No i dość szybko biegałem, poniżej jedenastu sekund na setkę. Zacząłem trenować rugby, ale lekko nie rzuciłem. Dalej biegałem i skakałem. Nawet w 1960 roku, już jako reprezentant Polski w rugby, na stadionie XX-lecia z Władkiem Komarem wygrałem. 180 centymetrów skoczyłem.

Wiedział pan w ogóle, co to rugby? Wtedy mało kto miał pojęcie o tym sporcie.

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: A gdzie tam, zielonego pojęcia o tym nie miałem. Zabrzmiało dość brutalnie, ale przekalkulowałem sobie szybko, że przy moich warunkach fizycznych świata lekkoatletyki nie podbiję. Ale do takiej gry zespołowej jak rugby miałem predyspozycje, mogłem w tym sporcie zaistnieć. I się nie pomyliłem. Już rok po rozpoczęciu treningów pojechałem z kadrą rugby na pierwszy wyjazd zagraniczny. Nie byliśmy wtedy jeszcze oficjalnie reprezentacją, do Bukaresztu jechaliśmy pod szyldem reprezentacji Warszawy. Oj, łomot straszny tam zaliczyliśmy, ale przeżycie niesamowite. Mój pierwszy zagraniczny wyjazd. Z Warszawy pociągiem blisko dobiegaliśmy, cały wyjazd trwał dziesięć dni. Mało tego, Rumunii zaproponowali mi i mojemu koledze, Sławkowi Frankowskiemu, żebyśmy zostali i trenowali w Rumunii. Oferowali jakieś mieszkania, stypendia. Potraktowaliśmy to jako żart. Wróciliśmy.

Często podczas wyjazdów zagranicznych próbowano was namówić, by nie wracać do Polski?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Zdarzało się. Nie zapomnę wyjazdu na zachód, do RFN w 1959 roku. Graliśmy w Brunzshwiku z Niemcami. Wygraliśmy, a z trybun dopingowali nas Cyganie. Krzyczeli, że nasi wygrali. Ale to był początek dziwnych zdarzeń. Po wygranej kierownictwo reprezentacji powiedziało nam: Panowie, możecie w hotelu robić wszystko. Sprowadzać dziewczynki, napić się. Ale pod żadnym pozorem nie wychodźcie na miasto. Jasne, człowiek pierwszy raz na zachodzie i na miasto nie wyjdzie. Z dwoma kolegami po cichu opuściliśmy miejsce zamieszkania, trafiliśmy do jakiejś dance budy. Poderwaliśmy tańczące tam kobiety, z którymi ruszyliśmy do innego lokalu. Drinki, tańce, kasa się skończyła i zaczęliśmy myśleć, co dalej. Kiedy już wychodziliśmy, podszedł do nas jakiś mężczyzna. Okazało się, że właściciel, mówiący po rosyjsku, bo kiedyś w niewoli rosyjskiej przebywał. Zapraszam was do baru, ale niech te panie sobie pójdą. Poszły. Bar do waszej dyspozycji, kelnerzy do waszej dyspozycji, kuchnia do waszej dyspozycji. Pijemy, rozmawiamy i on nam proponuje, żebyśmy w Niemczech zostali. Powiedzieliśmy, że się zastanowimy. Do hotelu wróciliśmy nad ranem. Okazało się, że kierownictwo dowiedziało się o tym. Po powrocie do Polski ukarano nas półroczną dyskwalifikacją. Za niesubordynację. Przecież Polski nie zdradziliśmy, do tego jeszcze Niemca objedliśmy. Jak mieliśmy nie wyjść? Nie zobaczyć tych neonów? Zachodu?

Zastanawia się pan czasami: A mogłem wtedy w tych Niemczech zostać?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Kiedyś może tak. Może teraz jeździłbym mercedesem i palił cygara?

Byliście wtedy dżentelmenami? Bo o rugby mówi się, że to sport dla arystokracji.

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Bo tak jest. Kiedyś podobno Winston Churchill powiedział tak: Piłka nożna to dżentelmeński sport dla chuliganów, rugby to chuligański sport dla dżentelmenów. Od pierwszych zajęć trenerzy mówili nam o szacunku dla rywala, kulturze na boisku. Po meczu zawsze oba zespoły udawały się na wspólną kolację czy bankiet. To do dziś nazywa się trzecią częścią meczu.

Jak można dać sobie w ryj na boisku, a po meczu iść na piwo?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: A bokserzy się leją? Myśmy po prostu się przyjaźnili.

Spotkania kończyły się po dżentelmeńsku, czy wspólnym pijaństwem?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Raczej było spokojnie, choć wtedy nikt z nas za kołnierz nie wylewał. Chociaż nie, mieliśmy kolegę, nazwiska nie wymienię, którego stopień upicia dało się rozpoznać po kolorze nosa. Im bardziej siny i ciemny, tym bardziej był pijany, a miał twardy łeb. Nie zapomnę nigdy pewnej historii. Rzecz działa się w Tbilisi, pojechaliśmy tam ze Skrą Warszawa w latach 60. na mecz Pucharu Europy. Po spotkaniu część zawodników wsiadła w dwa samochody. Gruzini zabrali ich na balangę w wysoki Kaukaz. Wrócili i od razu miejscowi zaczęli opowiadać: Słuchajcie, Jurij dał taki popis, że mu pomnik na Kaukazie chcą wybudować. Otóż nasz kolega, ten od nosa, wznosił toast i stwierdził, że wypije wino nosem. Wciągnął je. No i Gruzini powiedzieli, że jak przyjedziesz Jurij następnym razem, twój pomnik będzie już stał. To był rok 1967.

Myślał pan, że rugby bardziej się rozwinie przez te blisko 60 lat?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Niektóre dyscypliny w naszym kraju nie rozwiną się i nie chwycą. Tak samo jest z hokejem, hokejem na trawie, piłką wodną. Rugby może jest trochę lepiej postrzegane, ale tu nie ma klimatu. Trochę przykro.

Może ten sport po prostu nie pasuje do naszej mentalności.

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: No właśnie pasuje. Niektórzy twierdzą, że przepisy gry dla zwykłych kibiców są niejasne. Ale według mnie wcale nie są tak zawite. Może rozwój rugby wstrzymała kłątwa Gomułki?

Właśnie. Co wydarzyło się w 1968 roku?

ANDRZEJ WAŻYŃSKI: Słyszałem tę historię. Polska na stadionie XX-lecia grała mecz z Francją. Przy blisko stu tysiącach kibiców, bo akurat w tym miejscu finiszował Wyścig Pokoju. No więc władze nie chciały, aby ludzie się nudzili w oczekiwaniu na kolarzy, więc zorganizowano mecz towarzyski w rugby z Francją. Skończyło się na 0:68. Podobno towarzysz Władysław Gomułka straszliwie się zdenerwował i powiedział: Wyjazd mi z tym rugby, nie będziemy ludu podburzać. Podobno to wydarzenie na lata zastopowało rozwój tej dyscypliny. Podobno. Byłem wtedy zawodnikiem Skry Warszawa i o niczym takim nie słyszałem.



Łukasz Cielemecki